

PIOTR MARIAGER.

Za szczęśliwi.

(Opowiadanie z przeszłości).

Pewnego letniego dnia widziano u wschodniego cypla Krety duży okręt, który prując szybko szklisłą powierzchnię wody, skręcał w stronę morza egejskiego.

Powiew świeżego, wschodniego wiatru igrał z purpurową banderą statku.

Wysoko wzniesiony kadłub okrętu wskazywał, iż budowano go dla pomieszczenia dużego ładunku, bynajmniej wszelako ten wielki wymiar statku nie przejmował trwogą; zbliżywszy się na nieznaczną odległość, można było poznać, iż mimo swą wielkość, okręt nie był wojennym, lecz spokojnym, handlowym statkiem; przekonowały o tem nawet symboliczne znaki, umieszczone na przodzie, od których statek miał swoje otrzymanie. Napróżnoby też upatrywać tu bronie, lub zwykłych na wojennych okrętach zabezpieczeń.

Tył okrętu upiękuszony był wizerunkiem bogini Pallady, który wskazywał, iż właściciel statku był Ateńczykiem. Dla silniejszego spojenia bali, był cały kadłub umiejętnie skrepowany grubymi linami, obmalowanymi mieszaniną smoły i wosku. Wzdłuż ściany świecił szereg owalnych otworów dla wiosł, zaś przez otwór na rufie przeznaczony, wybiegały liny kotwice, nawinięte na korbe. Na przodzie, poniżej symbolicznych znaków, była wymalowana para wielkich oczu, jakby dla okazania, iż okręt, płynąc po morzu, zna drogę i cel swój.

W najwyośniejszym miejscu statku, tam, gdzie sternik rufy, zebrała się niewielka gromadka osób, wesoło i ożywienie rozmawiając. Byli to przeważnie lidyjscy i fenicy kupcy, którzy, korzystając z okazji, okrętem tym powracali ku Atenom; statek bowiem, odwiedzający ważniejsze porty Małej Azji i w towar się zaopatrując, ku pirejskiemu kierował się portowi.

Służba okrętowa, zgromadzona na przodzie pokładu, zawodziła monotonne pieśni, lub bezczynnie spoczywała w cieniu żagli; jedynie kilku młodych niewolników, krzątających się przy urządzeniu wieczerzy, zwijało się między gnuśniejszymi próżniakami.

U stóp maszty, na pokładzie, rozbity był niewielki namiot, niski na tyle, żeby uderzenia wiatrem kolysanego żagla nie poruszały go. Namiot był zasłonięty oponą, nie do tyłu jednak szczelnie przystającą, iżby z poza niej nie widać było małego, w białym ubraniu chłopca, cztero, lub pięcioletniego, który bawił się konną jazdą — konia zastępował wytwornie wycięty i na różne kolory wymalowany pręcik. Że jednak nie wiele było miejsca na taką zabawę, małe dziecko dość często zaczepiał o rzed paczek i kufrów, stojących po bokach. Ile razy się zdarzyło takie zetknięcie, grożące chłopcu upadkiem, wewnątrz namiotu słychać było głos młodej kobiety:

— Kalias, baw się tam, gdzie ci matka pozwoliła.

W namiocie siedziały dwie osoby: właściciel i dowódca statku, młody kupiec ateński, niedbale spoczywający na łożu i jego młoda żona, u wejścia siedząca.

Glaukos — imię kupca — był dwudziestopięcioletnim mężczyzną, o miłym, miśsiacym wyrazie. Staranny ubiór wskazywał w nim zamożnego człowieka.

Spoczywał na łożu, jedną rękę trzymał pod głową, w drugiej, niedbale zwieszanej, miał zwój papieru. Ale wzrok wskazywał, iż myśli błądziła gdzieś indziej, zdala od otaczających przedmiotów.

— Nie — zawołał, rzucając zwój na stół — to dziwne, ten człowiek stoi mi ciągle w myśli, na chwilę zapomnieć go nie mogę.

— Ktoż to taki? — spytała żona.

— Właśnie, że nie wiem, moja Chariklejo. Przypłynął do nas, kiedyśmy stali na kotwicy w jednym z portów, z chęcią sprzedania nam kilku owiec, które miał na zbycie w swoim czóźnie. Byłaś wówczas z niewolnikami na lądzie, dla czynienia zakupów. Zaledwie wpuścili my go na pokład, gdy zaczął z natarczywą ciekawością rozpytywać się o wszystko, co mu pod oczy podpadło. Nie dosyć na tem, zaczął badać stosunki handlowe i pytać, czy za złotem hafionowane dywany babilońskie można sobie dom kupić.

— Jak wyglądał ten człowiek? — pytała Charikleja.

— Przypomina mi Herkulesa, w tej postaci, w jakiej go zazwyczaj aktorowie na scenach przedstawiają. Był silny i wysoki, długie i gęste włosy w nieładzie spadały mu na szeroki, grubo kark, czoło miał w znacznej części zarosnięte.

— Cóż on robił na waszym pokładzie?

— Jednego nie kończąc, o drugim zaczynał. Nareszcie zniecierpliwił mnie do tego stopnia, że poleciłem ludziom moim sprowadzić go do jego łodzi. Ale olbrzym począł się bronić i silnym razem powalił dwóch moich parobków na pokład, jednego dotkliwie raniąc. Wówczas rzuciłem się sam do niego, a chwyciwszy go za pierś, zawołałem:

— Precz z mego okrętu, barbarzyńco, albo, na Jowisza, na zle ci wyjdzie twoja hardość.

Słowa te wywarły dziwny wpływ na nieznajomym; wzrok zabłysnął mu dzikim blaskiem, odrzucił w tył włosy, wyprostował się dumnie i pełnym wściekłości głosem krzyknął:

— Barbarzyńca, hai dobrze, Ateńczyku, spotkam się jeszcze kiedykolwiek!

I odepchnawszy ludzi moich, co na drodze mu stali, wskoczył do swojej łodzi i popłynął ku ladowi.

— Ten człowiek — przerwała żona — strachem mnie przejmuję.

— Trwożliwa istota — przerwał z uśmiechem Glaukos — powinnaś się raczej cieszyć z tego zdarzenia... ja, przynajmniej ci się otwarcie — tu zniżył głos — pragnę jakiegos niepowodzenia. My jesteśmy za szczęśliwi! Wszystkie wiedzie nam się, jak bożkom, niczego nie pożądamy, bo wszystko mamy... Wszak nie brak nam ani złota, ani majątku, ani dużego domu w mieście, ani znaczenia w Atenach; okręty moje stoją w Pireju, a majątek na Salaminie zaopatruje we wszystkie produkty, któreby nam potrzebnymi być mogły. Co się zaś tyczy przyszłości — i ta uśmiecha mi się szczęściem, gdyż nie mam syna Kaliasa, jedynego spadkobiercy mego dorobku?...

Wyliczywszy przyczyny swego szczęścia, spostrzegł się Glaukos, iż pominął żonę — kobietę jednak w starożytności nie miała wielkiego znaczenia.

Podniósł się na łożu, wsparł na jednej ręce i obrzucił mi osnym wzrokiem postać Chariklej. Lekki strój pozwalał podziwiać kształtną budowę żony Glaukosa, a poprzez otwory fałdów i wycięcie sukni widać było białą pierś, wysoko wzniesioną i silną, choć delikatne łopaki wraz z karkiem. Postać Chariklej, jej chód i sposób noszenia głowy, wskazywały w niej bogatą panią, przywykłą rozkazywać.

Glaukos wziął żonę za delikatną, pierścieniami upiękuszoną rękę i dodał:

— Alboż to nie mogę się pochwalić najpiękniejszą i najlepszą żoną?

Charikleja podniosła na niego swe duże, ciemne oczy i uściśnęła silnie jego rękę.

— Spojrzeniem i uściśnięciem zdawała się mówić:

— A czyliż mój Glaukos nie jest najlepszym i najprzystojniejszym z mężów?...

— Nie patrz na mnie takimi oczyma, moja pszczołko, bo w łonie mem budzisz piekielne żądze, a wiesz przecież, co powiadają ludzie z morzem obcy. Statek winien być wolnym od składania ofiar Wenerze, raz dlatego, że jest święty, powiódre, że jedna deska dzieli nas od śmierci; nie godzi się wobec jej majestatu żartować.

Charikleja zdawała się nie słyszeć słów męża.

— Twierdzisz tedy — przerwała — że jesteśmy za szczęśliwi. Boisz się zazdrości bogów?

— To ty powiedziałaś — z uśmiechem odparł Glaukos, starając się przenieść zuchwałe słowa na żonę, jakby w obawie podsłuchania.

— Pociesz się — mówiła żona — bogowie uczuły zazdrości nie mówią; zato ja mam jedno życzenie, na którego spełnieniu tak mi wiele zależy, że gdybym wątpiła w możność tego, byłby to kolec róży, wepchnięty w serce.

— Cóż to za życzenie, do którego tak wielką przywiązujesz wagę? — spytał Glaukos nie bez zdziwienia.

— Oto, kiedy nadejdzie kres nasz, wcześniej czy później, abyśmy mogli umrzeć razem; pomysł tylko Glaukosie, co za nieszczęście byłoby, gdyby jedno z nas wyprzedziło drugie. Oh! bogowie, ileż razy błagam was o odwrócenie takiej biedy.

— Strzeż się — przemówił na seryo mąż — nie można lekceważyć rzeczy poważnych. Śmierć

i życie spoczywają w łonie bogów, a dla nas jest to tajemnica. Kiedyś możesz gorzko żałować twej dzisiejszej prośby, którą niebieskie potęgi wysłuchać mogą.

— O nie, nigdy — zawołała Charikleja. Śmierć niech przyjdzie kiedyś i jak chce, byleśmy znaleźli się wspólnie w jej objęciach.

Przy tych słowach odstąpiła zasłonę namiotu. Przed niemi rozciągało się morze, zielonawe fale lśniły się od blasku słońca. W oddali, szczyty gór jakiejś wyspki wpijały się w błękit nieba, a na północnej stronie widnokrepu pasmo ciemnych chmur odbijało się na lazure.

— Bogowie — zawołała Charikleja, podnosząc ręce ku niebu — siły niebieskie! czy znalazła posłuchanie prośba moja u was? Jeżeli tak, ześlijcie widomy znak waszego potwierdzenia.

Stała u samego wyjścia do namiotu, okiem rzucając pytanie swoje w przestworze.

Glaukos podążył za nią i stanął w głębi, ukryty w cieniu, śledząc kierunek jej wzroku; nawet mały Kalias, jakby w oczekiwaniu czegoś, stanął za matką, przerwawszy sobie zabawę.

Z wnętrza ciemnych chmur, jak iskra, przemknęła ognista wstęga, wezwano obejmując czarne olbrzymy. W ślad za nią, głuchy łoskot dalekiego grzmotu napęlił powietrze i współcześnie niemal trzy białe ptaki, dwa duże, jeden mniejszy, zawiodły krąg nad statkiem, szybkim lotem wzbiły się ku górze, jednakowe kreśląc koła i coraz niewyraźniejszymi się stając w przestworach błękitu.

— Patrz — zawołała Charikleja głosem pełnym radości — moja prośba wysłuchana. Ukłękła, rozkrzyżowała ręce i rzekła: „Przyjmuję to za dobry znak.

Grzmot rozległ się znowu.

— O ile jednak pamiętam — zauważył Glaukos — ptaków było trzy, z tych jeden był mniejszy...

— Być może — ciągnęła dalej Charikleja, biorąc męża za rękę — iż życzeniem bogów jest, abyśmy umarli niedługo, wszakże Kalias byłby dzieckiem; w takim razie przyjmuję to za znak dla niego; pozwól mu podążyć za nami.

Chociaż zdarzenie powyższe nie małe na Glaukosie zrobiło wrażenie, nie uszło jednak jego uwagi poruszenie, jakie zapanało na pokładzie. W tylnej części okrętu, w miejscu przez sternika zajętem wszczął się ruch i ożywiona rozmowa; młodzi niewolnicy z wyrazem niepokoju na twarzy biegali z jednego miejsca na drugie, a nawet starsi ciekawem okiem spoglądali ku morzu.

— Co się stało? — zapytał Glaukos.

— Na morzu widać maleńki statek, który zdaje się nas ścigać.

Glaukos poszedł do sternika:

— Od czasu, kiedyśmy koło Rhodosu przepływali — mówi sternik — statek ten bezustannie za nami podąża; kilkakrotnie zmieniłem kierunek okrętu i za każdym razem spostrzegalem, iż owo czółno czyni to samo. To mnie naprowadza na smutne przypuszczenie, że jest to okręt morskich rozbójników.

— Hej Egipcyaninie — zawołał Glaukos — zbliż się.

— Ten, którego wołano był łysym i zgarbionym, o siwej brodzie starcem. Nazywano go Egipcjaninem dlatego, iż przez długie lata odwiedzał egipskie miasta, jak Buziris, Bubastos i inne.

— Co myślisz o tem? zapytał go Glaukos, wskazując mu maleńki punkcie na morzu.

— Myślę, że to daremne strachy — wyrzekł krótko zapytany.

— A jak sądzisz — ciągnął dalej Glaukos — co za rodzaj statku to być może.

— Ja myślę, że to jest myopara.

— Myoparami nazywano maleńkie czółenka, używane przez wyspiarzy. Dawniej odbywano na nich wyprawy zbójckie, celem napadu na okręty handlowe, później jednak dostłużyły się one obywatelstwa na posługach szlacheńszego gatunku. To też uwaga Egipcjanina nie przeraziła nikogo.

— Zwyczajna rzecz — mówił kupiec fenicki, głaszcząc się po brodzie, że małe czółna chętnie za wielkimi płyną. To im zabezpiecza pomoc w razie jakiego wypadku.

— To mnie nie przekonywa wcale — wtrącił jeden z podróżnych. Gatunek statku nie świadczy o jego żeglarskich, a złodziejskich i rozbójniczych kryć się na łódce, wydaniej uczciwemu jej właścicielowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).